Mirosława OŁDAKOWSKA-KUFLOWA

PO SĄSIEDZKU

Moja znajomość z panią profesor Ireną Sławińską miała kilka etapów. Jako studentka filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (w drugiej połowie lat siedemdziesiątych) musiałam się oczywiście z nią zetknąć. W tamtym czasie prowadzone przez nią zajęcia dydaktyczne skupione były na problematyce teatrologicznej, która wówczas interesowała mnie w niewielkim stopniu. Zresztą pierwsze lata mieliśmy wypełnione zajęciami obowiązkowymi do czterdziestu kilku godzin tygodniowo. W późniejszej fazie studiów, gdy było więcej czasu, wolałam rozwijać inne swoje zainteresowania, toteż na nieobowiązkowy wykład z dramatu francuskiego poszłam zaledwie kilka razy i niewiele z niego wyniosłam. Bardziej pozostało mi w pamięci pewne przemówienie Pani Profesor na rozpoczęcie roku akademickiego, a mówiła wtedy o potrzebie wewnętrznego skupienia, jeśli się chce właściwie wykorzystać czas nauki na uniwersytecie.

Kiedy sama zaczęłam prowadzić zajęcia, spotykałam profesor Sławińską w czasie plenarnych zebrań pracowników dydaktycznych polonistyki i dopiero w tym czasie miałam okazję przekonać się, z jakim respektem odnosili się do niej inni wykładowcy, a wobec wszystkich żywiłam wielki szacunek i jako osoba dopiero co wyzwolona ze stanu studenckiego, czułam się ich uczennicą. Miałam też okazję uczestniczyć w jednym z wakacyjnych kursów językowych organizowanych z inicjatywy profesor Sławińskiej. Było to w Pewli Małej. Pani Profesor chętnie brała udział w kursach języka angielskiego, choć można było podziwiać, jak sprawnie posługiwała się tym językiem. W Pewli kontakty z nią były mniej oficjalne. Lubiła łączyć naukę z turystyką i sportem. Wtedy jednak, a było to przed jej operacją stawu biodrowego, musiała wyrzec się wycieczek i poprzestać na krótkich spacerach (po operacji na szczęście jej sprawność ruchowa znacznie się poprawiła). Pozalekcyjne konwersacje, często odbywane w plenerze, przygotowywanie liturgii w języku angielskim – w kursie uczestniczyli również księża – miały swój niepowtarzalny urok, a obecność Ireny Sławińskiej, trudno byłoby tego nie przyznać, działała na wszystkich mobilizująco.

O zażyłości w naszych kontaktach można mówić dopiero od czasu, gdy nasza rodzina zamieszkała w sąsiedztwie Pani Profesor. Były spotkania w kaplicy, która przetrwała w zamieszkiwanym przez nas domu dzięki temu, że mamy sąsiadów księży. Profesor Sławińska uczestniczyła w codziennej Mszy świętej, a jeśli wyjeżdżała, a wiedziała, że pod jej nieobecność w liturgii dnia powszedniego nie będzie uczestniczył żaden wierny, bywała zmartwiona. Pamiętała, że według dawnych przepisów prawa kanonicznego, liturgia nie powinna być sprawowana bez uczestniczących w niej poza celebransem osób, a nowsze rozporządzenia jej nie przekonywały.

Czasem razem wracałyśmy z zebrań, odczytów. Kiedy indziej towarzyszyliśmy jej, mąż i ja, gdy chodziła na premiery teatralne, na które była zapraszana przez dyrekcję Teatru im. Juliusza Osterwy. Sprawiało jej to zawsze dużo radości. Z czasem spektakle przeżywała bardziej emocjonalnie. Kiedyś podczas niezwykle ekspresywnie wykonywanej Wielkiej Improwizacji w czasie przedstawiania *Dziadów* była bardzo poruszona, nawet zalękniona. Potrzebowała kontaktu z kimś siedzącym obok, podania ręki, by opanować swoje emocje. Po przedstawieniach były dyskusje i komentarze. Dopiero jako sąsiedzi poznawaliśmy bliżej poglądy profesor Sławińskiej, nie tylko te dotyczące teatru, sposobu uprawiania nauki, upodobań literackich, ale też spraw bardziej przyziemnych.

Nadchodził niestety czas, w którym potrzebowała coraz więcej pomocy – zorganizowania wizyty u lekarza, kuracji w klinice okulistycznej, pomocy w codziennych kłopotach. Przychodziła też do nas zwyczajnie po to, by z kimś pobyć, posiedzieć przy stole w rodzinnej atmosferze, porozmawiać. Nie pracowała już zawodowo, w dalszym ciągu pisała, a przede wszystkim czytała. Brakowało jej jednak kontaktu z młodzieżą, toteż cieszyła ją możliwość rozmowy z naszą najstarszą córką – licealistką, potem studentką pierwszego roku. Wypytywała o lektury, o zainteresowania, nigdy nie odmawiała sobie komentarzy o konieczności opanowania języków obcych. Młodsze dzieci nie były jeszcze dla niej partnerami rozmowy, były natomiast wypytywane o szkolne postępy. Czasem przynosiła im jakąś książkę, potem oczekiwała świadectwa, że książka została przeczytana.

Kontakt z młodzieżą był też dla profesor Sławińskiej pretekstem do snucia wspomnień z czasów szkolnych i studenckich. Często porównywała tamte realia ze współczesnością, ukazywała trudne warunki bytowe pochodzących z kresów rodzin, które ratowały się ucieczką przed rewolucją bolszewicką. Jej rodzina także zaznała tego losu. „Nazywano nas nędzą mówiącą po francusku" – powtarzała wielokrotnie. Z czasem wspomnienia coraz bardziej wypierały inne rozmowy.

Nie pod każdym względem zachodzące przemiany były dla niej zrozumiałe. Nie mogła pogodzić się ze zjawiskiem masowego podejmowania studiów przez młodzież. Uważała, że wyższe wykształcenie powinno pozostać elitarne, nie

w sensie niedostępności dla pewnych kręgów społecznych, bo awans młodzieży ubogiej autentycznie ją cieszył. Wspomagała nawet ze swojej emerytury – aż do czasu ostatniej choroby – jakiegoś studenta zza wschodniej granicy. Była jednak zdania, że tylko najzdolniejsi i przy tym pracowici powinni znaleźć się na wyższych uczelniach. Podawała za wzór Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, który w dwudziestoleciu międzywojennym nadał tytuł doktora nielicznym młodym naukowcom; za to, jak twierdziła, nikt w Polsce nie pytał, kto to, gdy usłyszał nazwisko któregoś z wileńskich doktorów. Także niemożność znalezienia przez młodzież pracy po studiach lub nieumiejętność zapracowania przez młodego człowieka na swoją naukę nie mieściła się w jej wizji świata. Podobnie było zresztą z niektórymi innymi zjawiskami społecznymi i kulturowymi. Natomiast zdolność do dowcipnej, czasem ironicznej riposty zachowała niemal do końca.

Rozstaliśmy się z nią niespodziewanie, gdy zachorowała w okresie Świąt Bożego Narodzenia u swojej siostry w Warszawie. Została już tam, najpierw pod opieką rodziny, potem sióstr zakonnych. Do końca nie chciała zrezygnować z aktywności intelektualnej, chwaliła się, że na potrzeby zakonnic wykonuje jakieś tłumaczenia. Prof. Wojciech Kaczmarek, jej uczeń, przywiózł ją kiedyś do Lublina; ze względu na stan zdrowia wizyta trwała zaledwie kilka dni. Z warszawskiego etapu jej życia pozostało nam kilka listów. Odwiedziłam ją przy okazji jubileuszowych uroczystości dziewięćdziesiątych urodzin. W naszej i naszych dzieci pamięci pewien okres rodzinnego życia pozostanie związany z osobą znanej i cenionej Profesor, która w swych ostatnich latach potrzebowała zwyczajnego ludzkiego kontaktu i rodzinnego ciepła.